

Monachium 2015 – rozważania alternatywne

26 kwietnia 2015

EuroMajdan w gruncie rzeczy uzmysłowił, że koncepcja „niepodległej USRR” okazała się niezbyt udanym projektem geopolitycznym, społecznym i narodowościowym. W rezultacie, jak pokazały to lata 1991–2013, Ukraina została, w wyniku rewolucji obywatelskiej, wojny noworosyjskiej oraz presji ze strony państw Zachodu, zmuszona do porzucenia postkomunistycznego paradygmatu rozwoju republiki oligarchicznej oraz stanęła przed koniecznością (od)budowy podstaw instytucji państwa, reżimu politycznego, systemu ekonomicznego i określenia na nowo swego miejsca w istniejącym porządku międzynarodowym.



Skąd jednak wiadomo, że i tym razem proces tranzycji systemowej zostanie zakończony sukcesem, skoro (1) Ukraina, po zakończeniu Pomarańczowej Rewolucji (2004–2010) już raz zaprzepaściła swój „impuls modernizacyjny” wskutek niekonsekwentnych rządów prezydenta Wiktora Juszczenki oraz (2) pierwszy rok rządów administracji Petra Poroszenki wykazał „rosnący potencjał niestabilności” kraju, który sprawił, że państwo do tej pory zależne od Rosji, stało się niemal

„zakładnikiem finansowym” świata zachodniego i jego interesów geopolitycznych.

Rozważmy może zatem – na zasadzie pewnego rodzaju alternatywy (można także odwołać się do teorii gier stosowanych w naukach społecznych), to co geopolityka nazywa „scenariuszem najgorszego możliwego przypadku”. Na samym początku „Warto zastanowić się – pisał na łamach „Gazety Polskiej Codziennie” Jan Parys – na czym właściwie polega spór geopolityczny o Ukrainę. Na ogół komentatorzy twierdzą, że Rosja zamierza wciągnąć do Unii Euroazjatyckiej, a Bruksela chce Ukrainę widzieć w Unii Europejskiej. Jest jednak inaczej. Brukseli idzie o to, by Ukraina nie była w Unii Euroazjatyckiej, a Rosji o to by Ukraina nie była w Unii Europejskiej i NATO. I to są ramy, w których politycy ukraińscy powinni się poruszać, jeśli chcą minimalizować zagrożenie integralności terytorialnej lub suwerenności swego kraju. Przypomnę, że dla każdego kraju, dla każdego rządu, dla elity każdego państwa najważniejsze jest zachowanie tego, co się ma, działając w ten sposób, by nie utracić żadnego elementu terytorium czy podmiotowości. Kto postępuje inaczej, zaczyna grę w pokera o los kraju. Prowadząc grę geopolityczną, trzeba szanować realia, a nie porywać się z motyką na słońce” [1].

Wspomniana zasada równowagi sił między Zachodem a Rosją na terytorium Ukrainy została jednak naruszona wskutek (1) zwycięstwa „rewolucyjnego przewrotu” w lutym 2014 r. oraz (2) podpisania przez władze państwowe w Kijowie układu stowarzyszeniowego z Unią Europejską, co umożliwia rozpoczęcie procesu okcydentalizacji kraju (paradoksalnie ułatwia to także konflikt donbaski, który prowadzi do redefinicji pojęcia narodu ukraińskiego i pociąga za sobą zaangażowanie dyplomatyczne krajów europejskich i USA) oraz teoretycznie otwiera przed nim drogę do struktur euro-atlantyckich. Z perspektywy Rosji zarówno reorientacja cywilizacyjna, jak i geostrategiczna pociąga jednak za sobą dalekosiężne konsekwencje, które mają (będą miały) wpływ na jej pozycję

międzynarodową. Dlatego też Zbigniew Brzeziński postrzega Ukrainę, jako jedno z państw, z „gatunków zagrożonych wyginięciem”, zaś George Friedman zauważył, iż „Amerykańska strategia rzeczywiście polegała na powstrzymywaniu i okrażaniu Rosji, bez względu na to, jak niewinnie ją przedstawiano. Stany Zjednoczone [...] w 2004 roku, bazując na Ukrainie zaczęły tworzyć nową regionalną równowagę, z jawnym zamiarem wykorzystania większości byłych sowieckich republik jako przeciwwagi dla Rosji [...]. Cele Ameryki w Eurazji – [...] są takie same jak w innych regionach: chodzi i to by nie dopuścić do dominacji jednej siły (lub koalicji sił) na danym obszarze” [2].

Kryzys ukraiński pokazał jednak ograniczone możliwości nacisku dyplomatycznego na Rosję (bez względu na jej rzeczywisty potencjał geopolityczny), co w efekcie doprowadziło do swoistego pata strategicznego i ekonomicznego w relacjach między Brukselą, Waszyngtonem a Moskwą. Po drugie – „Deeskalacja [...] stało się słowo-kluczem definiującym forsowany przez Europę sposób na rozwiązanie rosyjsko-ukraińskiego konfliktu” [3]. Po trzecie – zachodnia opinia publiczna, jej elity polityczne są w zasadzie podzielone w sprawie (domniemanych) tendencji neoimperialnych na Kremlu. Po czwarte – pomimo określonego i warunkowego zaangażowania przeciw FR administracja prezydenta Baracka Obamy oraz elity biurokratyczne w Unii Europejskiej za pierwszoplanowe zagrożenie uważają przede wszystkim międzynarodowy terroryzm, który przybrał głównie postać Państwa Kalifatu Islamskiego. Dla Waszyngtonu równie ważny jest problem denuklearyzacji Iranu i Korei Północnej, zaś Brukseli – zagadnienie nielegalnej migracji, głównie z Afryki Północnej (pokłosie Tunisami). Po piąte – powoli podnoszą się głosy, umiejętnie podsycane przez propagandę rosyjską, na temat zasadności finansowania „bankruta politycznego”, jakim jest „junta banderowska” w Kijowie, skoro sama przez się nie jest ona w stanie uporać się z wojną secesyjną oraz dokonać rzeczywistych reform systemowych [4].

Czy w tej sytuacji i z powodu wyartykułowanych uwarunkowań międzynarodowych „najtańszym” sposobem nie jest chociażby „porzucenie Ukrainy”, zwłaszcza, że jak powodzą jej oponenti, jest to w gruncie rzeczy „państwo sezonowe”, posiadające sztuczne granice, które rozdzielają naród rosyjski? Czy zatem w imię równowagi sił oraz prawa do samostanowienia narodowego może warto dokonać jej dezintegracji terytorialnej i zamiast „wielkiej Ukrainy” pokusić się o realizację projektu „małej Ukrainy”? Artykułując powyższą hipotezę trzeba przede wszystkim zauważyć, iż jej rozbiór jest do pewnego stopnia i tak już faktem dokonany – przypomnijmy chociażby: (1) aneksję Krymu przez Rosję (marzec 2014), czy (2) secesję Donbasu (maj 2014).

I tak w wypracowanym w połowie 2014 roku scenariuszu maksymalistycznym mamy do czynienia z próbą realizacji idei „wielkiej Noworosji” od Odessy po Donieck i Charków. We wspomnianym wariancie secesja objęła by potencjalnie następujące regiony: (1) z przewagą ludności rusofońskiej, choć niekoniecznie uważających się za Rosjan, (2) powiązane ściśle ekonomicznie i kulturowo z Federacją Rosyjską oraz (3) w których w latach 2004 i 2010 zwyciężył w wyborach prezydenckich Wiktor Janukowycz. Gdyby zatem pojawiła się tego rodzaju opcja, to wówczas zyskałaby społeczne potwierdzenie koncepcja „dwóch Ukrain” – uważana przez ukraińskich socjologów i politologów za zwyczajny anachronizm, zaś przez separatystów noworosyjskich za pretekst do definiowania swych roszczeń w kategoriach prawa do „samostanowienia narodowego” rosyjskojęzycznej Ukrainy. Państwo to rozpadłoby się zatem wzdłuż domniemanych „szwów narodowościowych”, mniej więcej na równe pod względem zajmowanej powierzchni i liczby ludności części.

Nowa „mała Ukraina”, rozciągająca się od Bugu i Dniestru po środkowy Dniepr (z dostępem do morza w Odessie, jako „oknem na świat?”), byłaby bardziej zwarta ludnościowo – jej granice w gruncie rzeczy pokrywałyby się z faktycznym zasięgiem

terytorialnym ruchu narodowego w XX wieku, oraz historycznie – najdalszym zasięgiem cywilizacji łacińskiej na kresach ukraińskich I Rzeczypospolitej, jednakże secesja Południowego-Wschodu wywołałaby równocześnie ogromną zapaść gospodarczą, energetyczną i szok mentalny – porównywalne chyba tylko z rozbiorem Węgier w 1920 roku przez aliantów i państwa sąsiednie. Inną, choć równie istotną sprawą byłby los „niepodległej” rusofońskiej Ukrainy, której mogłaby przypaść rola bufora lub też stałaby się ona autonomiczną częścią Federacji Rosyjskiej. W tym przypadku niewątpliwie ciekawie wyglądałby również spór o to, która z dwóch Ukrain jest bardziej „prawdziwa”.

Wypadki 2014 roku potwierdziły jednak, iż koncepcja „Noworosji” okazała się mirażem, ideą zupełnie pozbawioną treści – jednak polityka i politycy mają to do siebie, że potrafią dopowiedzieć (lub dopasować) sobie określoną ideologię, aby tylko uzasadnić swoje (w gruncie rzeczy) koniunkturalne wybory i to bez względu na konsekwencje średnio- i długoterminowe. Czy jednak wspomniany scenariusz jest nierealistyczny? Odwróćmy może pytanie: czy przed 21 XI 2013 roku, ktoś sobie wyobrażał takie a nie inne losy Ukrainy: wybuch rewolucji a następnie wojny secesyjnej? Otóż w geopolityce nie istnieją dwa podstawowe słowa – nigdy i (nie)możliwe! A co będzie w przypadku, kiedy „zmęczone” wspomnianą kwestią UE i USA (przed listopadem 2016 roku) uznają wspomniane państwo za „chorego członka Europy” – zupełnie jak Rzeczypospolitą w XVIII wieku i Turcję w XIX stuleciu. Efekt końcowy był za każdym razem taki sam – najpierw protektorat międzynarodowy a następnie całkowity rozbiór państwa w pierwszym przypadku lub niemal całkowita utrata prowincji europejskich i bliskowschodnich w drugim. A może Ukrainę trzeba będzie (należy?) „rozebrać” w imię zachowania pokoju europejskiego i „poszanowania” prawa ludności rosyjskiej do samostanowienia – zupełnie, jak Czechosłowację w 1938 roku? Wszystko zależy od dalszego rozwoju wypadków, gdyż „piłka nadal jest w grze”, determinacji

i cierpliwości Zachodu wobec Ukrainy oraz planów strategicznych Rosji [5].

Scenariusz „Czechosłowacja 1938” pokazuje jednak, że rozbiór państwa, wzdłuż hipotetycznej linii domniemanych podziałów narodowościowych jest jednak drogą prowadzącą do nikąd. Dlaczego? Po pierwsze – nie wiadomo, czy „reżim Putina” nie poprzestałby na rozstrzygnięciu kwestii noworosyjskiej po swojej myśli i posunąłby się do wysunięcia tym razem roszczeń wobec Małorusi? Po drugie – Zachód i tak nie udzieli Ukrainie żadnych gwarancji bezpieczeństwa w obecnej konfiguracji geopolitycznej, co oznacza, iż potencjalnie grozi jej wariant Protektoratu (Czech i Moraw). Po trzecie – trzeba także wziąć po uwagę nieuniknione przemiany społeczne („niechęć” wobec Zachodu) i radykalizację nastrojów nacjonalistycznych, co w konsekwencji zamiast oddalać, jeszcze bardziej przybliżyłoby wojnę donbaską do granic wschodnich Unii Europejskiej. Następstwa upadku II Republiki Czechosłowackiej (1938–1939) same w sobie stanowią zatem lekcję historii [6]. Czy politycy świata zachodniego jednak ją odrobili lub przynajmniej wystarczająco zrozumieli? To oczywiście pytanie retoryczne!

Współcześnie Zachód nakreślił wobec Rosji „cienką czerwoną linię” – jest nią granica wschodnia krajów flankowych NATO. Tylko, że w przypadku Ukrainy niczego, to gruncie rzeczy – pomimo podpisania protokołu znanego jako Mińsk-2 – nie rozstrzyga, a równocześnie pozostawiło niezwykle szeroki margines do jego „dyplomatycznych interpretacji”. Przykłady Gruzji, Azerbejdżanu oraz Mołdowy są już wystarczającymi egzemplifikacjami. A to oznacza mniej więcej, iż świat transatlantycki na wiosnę 2015 roku pogodził się już do pewnego stopnia z dokonaną już częściowo dekompozycją terytorialną Ukrainy – aneksją Krymu i poszukuje „optymalnego” dla swego bezpieczeństwa formuły „samodzielności” Donbasu w granicach, Zjednoczonych Republik Ludowych, wywalczonych w czasie kampanii zimowej.

Mało tego – jeśli Ukraina zamierza po EuroMajdanie na stałe

zmienić swoją reorientację geopolityczną (deklarowała to już jednak po Pomarańczowej Rewolucji w 2004 roku, z wiadomym skutkiem) – należy się zasadniczo liczyć z trwałą utratą zarówno samego półwyspu, jak i „zbuntowanej” części kresów południowo-wschodnich na rzecz FR. Władze państwowe w Kijowie po prostu nie dysponują określonymi atrybutami siły „miękkiej” i „twardej”, aby odzyskać „ziemie utracone”. Ponadto, zarówno Unia Europejska (pod pretekstem integracji europejskiej), jak i Stany Zjednoczone (dostosowanie wymogów formalnych do NATO) będą „sugerowały” na faktyczne wygaszenie „zamrożonego konfliktu”. Używając zatem języka finansowego możemy stwierdzić – iż Krym i Donbas to takie formy „zadatku” Zachodu na rzecz Rosji w zamian za przyzwolenie na „kontrolowaną” okcydentalizację Ukrainy. Nie oznacza to bynajmniej końca „rosyjskiej ruletki” wokół tego państwa do czasu, gdy (1) wielkie mocarstwa same narzucą jej rozwiązanie wojny noworosyjskiej, które wypracuje mową równowagę sił i interesów w regionie Morza Czarnego lub (2) Kijów samodzielnie porozumie się zawczasu w Moskwą powracając do polityki wielosektorowości – oczywiście po uwzględnieniu już pewnych faktów dokonanych.

Jednakże bez stabilizacji wewnętrznej – finansowej, ekonomicznej, społecznej oraz tranzycji systemowej dorobek polityczny EuroMajdanu, może zostać ponownie zmarnowany. „W listopadzie 2013 roku – napisze Tomasz Kwaśnicki – Ukraina potrzebowała 15 mld USD na ustabilizowanie gospodarki. Sytuację określano wówczas jako „katastrofalną”. Rok po zwycięstwie Majdanu wyrażenie „katastrofalna sytuacja” nabrało dla Ukraińców nowego znaczenia” [7]. W tych to okolicznościach Alexander Motyl zauważył nawet, iż tranzycja systemowa, nawet za cenę utraty części terytorium, jest „fizycznym warunkiem” przetrwania Ukrainy jako niepodległego państwa. Jak pisze wspomniany amerykański politolog, ukraińskiego pochodzenia: „[...] prawda jest taka, że Ukraina miałaby się znacznie lepiej bez Donbasu [...]. Pozbycie się go, formalnie albo nieformalnie – w postaci zamrożonego konfliktu – byłoby jak pozbycie się kuli u nogi [...]. Ponurą charakterystykę Donbasu uzupełnia to,

że separatyści zniszczyli jego gospodarkę i infrastrukturę” [8]. Jeszcze dalej w swych domniemaniach idzie Józef Rak, który stwierdza wręcz, że: „[...] niech stająca w obliczu kryzysu Rosja utrzymuje deficytowy Krym i niewydolną gospodarczo „Noworosję”. Bez nich Ukraina zmodernizuje się szybciej i szybciej zbliży się do Europy. Nawet, jeśli ceną będzie utrata pewnej części (teoretycznego) potencjału i wielkiej części państwowo-narodowej dumy. Bez (mocno już poszarpanej) dumy Ukraina może przetrwać. Bez radykalnych reform nie” [9]. Koszty odbudowy samego Donbasu szacuje się na ok. 20 mld USD, a jednak „Czy kraj potrafi żyć bez [...] kopalń, surowców i eksportu? Tu sprawa jest łatwiejsza, niżby się wydawało [...]. Kijów nie kontroluje regionu, nie ściąga podatków, nie czerpie zysków z bogactw naturalnych. A jednak kraj funkcjonuje [...]. Z pewnością Ukraina straci duży rynek zbytu, ale to kwestia szukania innych rozwiązań i zmiany strategii gospodarczej. To musi być suwerenna decyzja Ukraińców. Kiedyś wydawało się, że Serbia nie potrafi żyć bez Kosowa. Dziś okazuje się, że jest odwrotnie” [10].

Ukraina po ideowej porażce Pomarańczowej Rewolucji w 2010 roku dostała po prostu swą drugą szansę, choć trzeba przyznać, iż Klio po 1991 roku nie była zbyt życzliwa dla tego kraju. Natomiast z perspektyw polityki globalnej zaangażowanie krajów UE i USA w „nową kwestię wschodnią” jest pełne paradoksów i sprzeczności. Przede wszystkim dyskutuje się nie tyle o samych granicach Zachodu, lecz o zasadach i pryncypiach „doktryny powstrzymywania”. Oczywiście można narzekać na niewystarczającą czy też niewspółmierną pomoc dla Ukrainy (głównie finanse, częściowe otwarcie runku i środki nieśmiercionośne) – lecz równocześnie nie sposób nie zauważyć, iż w gruncie rzeczy dysponuje on (w stosunku do krajów autorytarnych lub totalitarnych) mniejszą zdolnością do mobilizacji określonych zasobów „siły”, w warunkach ograniczonej konfrontacji geopolitycznej [11]. Jeśli jednak za punkt wyjścia przyjmiemy reakcję świata transatlantyckiego wobec wojny sierpniowej w Gruzji w 2008 roku – a przecież

administracja Georga Busha rozważała nawet ograniczone ataki lotnicze na wojska rosyjskie w tym kraju¹² – to zaangażowanie w problem Ukrainy stanowi swoisty punkt przełomu, co pozwala snuć nadzieję, że kraj ten nie zostanie ani porzucony, ani też pozostawiony sam na sam z – ograniczoną w końcu – potęgą FR.

Choć w praktyce prawo do granic 22 marca 2014 roku Ukraina potwierdziła podczas wojny noworosyjskiej krwią własnych żołnierzy i grobami licznych poległych, którymi są usiane pola Donbasu, to jej przyszłość rozstrzyga się głównie podczas rozgrywek dyplomatycznych między wielkimi ośrodkami siły, które dążą generalnie do „zamrożenia” konfliktu donbaskiego pod swoimi warunkami. Problem w tym, że „Europa dała się przekonać, że droga do rozwiązania konfliktu na Ukrainie wiedzie przez ustępstwa wobec Rosji i że to Ukraina ponosi ciężar odpowiedzialności za wojnę” [13]. To wszakże pokazuje, iż wspólnota międzynarodowa wykazuje niezdolność do kompleksowego rozwiązania kwestii ukraińskiej, jako potencjalnego źródła destabilizacji Starego Kontynentu. Na horyzoncie nie widać także żadnych perspektyw ułożenia, na zupełnie nowej płaszczyźnie, stosunków między Kijowem i Moskwą, które uwzględnią zarówno doświadczenia EuroMajdanu, jak i wojny secesyjnej [14].

Autorstwo: dr Robert Potocki

Zdjęcie: Ivan Bandura (Flickr.com)

Źródło: Geopolityka.org

PRZYPISY

[1] J. Parys, Wnioski z kryzysu na Ukrainie, „Gazeta Polska codziennie” 8 IV 2014, s. 10.

[2] Z. Brzeziński, Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 123, 130–132; G. Friedman, Następna dekada. Gdzie byliśmy i dokąd zmierzamy, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 157–158, 165.

[3] K. Nieczydor, Czujny jak Europa, czyli krótka historia (nie)porozumień w sprawie Ukrainy, <http://eastbook.eu/2015/02/country/ukraine/czujny-jak-europa/>, dostęp: 19.04.2015.

[4] W. Łysiak, Rozumiemy cokolwiek?, „Do Rzeczy” 13–19 IV 2015, nr 16.

[5] J. Stec, Ukraina – zacisze, na jak długo?, <http://geopolityka.net/jan-stec-ukraina-zacisze-na-jak-dlugo/>, dostęp: 20.04.2015.

[6] Por. A. Małkiewicz, Samobójstwo demokracji. Czechosłowacja w okresie II Republiki 1938–1939, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Wrocław 2013.

[7] T. Kwaśnicki, O Ukrainie realnie, „Do Rzeczy” 13–19 IV 2015, nr 16, s. 60.

[8] Niech sobie Rosjanie zabiorą Donbas. Z Alexandrem Motylem rozmawia Mariusz Zawadzki, „Gazeta Wyborcza” 20–21.09.2014, s. 14.

[9] J. Rak, rozebrać Ukrainę. Rozważania nad mapą i nie tylko, „Inne Oblicza Historii” 2014, nr 4, s. 7.

[10] J. Wilczak, Życie bez Donbasu, „Polityka” 25.02.2015 – 03.03.2015, nr 9, s. 13.

[11] J. Wojas, Dlaczego mamy dozbierać Ukrainę?,